Lwów 19. Maja. Nr 59. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. 3 Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięczna **40** kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po **1** ½ kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie.

Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

WIENIEC CIERNIOWY.

Rozdział X.

ZARĘCZYNY.

(Ciąg dalszy.)

Wtej chwili ozwał się zdala głos trąbki!.. z początku cichy, daleki, pojedyńczy, później coraz głośniejszy, bliższy, z mnóstwa innych głosów złożony. To są wojenne fanfary. Tam od lasu pierwsze pokazują się szeregi. Ziemia tętni pod końskiemi kopytami, rżą konie wesoło, furkają chorągiewki wiatrem poruszane, lśnią w słońcu jak brylanty stalowe lanc groty. To ułany idą!..

— Idą już nasi!... zawołali oboje kochankowie, klaszcząc w ręce z radości.

A muzyka coraz bliższa raźnego wali marsza. Aż się piersi podnoszą u młodych ludzi; serce im rośnie w zapał który błyskawicą z oka wylatuje...

— Ułany! ułany nasze!..

— Witołdzie! jaka to muzyka cudowna!

— Jakże tu nie zwyciężyć!..

— Już się zbliżają... Witoldzie to radość.. Ach Witołdzie to rozstanie nasze! to smutek!

— Rozstanie na krótko!.. ale moja Antosiu! to droga do sławy, do szczęścia!....

— Idź! idź mój Witołdzie!.. broń sławy i przyszłości naszej, i wracaj!.. Idź!.. wszak my oboje dzieci tej naszej kochanej Litwy!..

— Antosiu! idę z braćmi... i z braćmi wrócę do ciebie.. na zawsze! na zawsze moja najdroższa!

Rozczuleniem i zapałem miotani kolejno, uścisnęli się serdecznie, a łzy mieli w oczach choć był uśmiech na ustach, a łyskawice w oczach. Bóg to jeden widział czego było więcej w tych łzach, czy żalu rozstania, czy radości na widok zbliżających się znaków. I długą chwilę spoczywali w tem pożegnawczem objęciu.

A muzyka coraz bliżej, coraz huczniej, coraz weselej grzmiała znanego marsza, do którego tyle się łączy pamiątek sławy.

Jeszcze jeden pocałunek tak ognisty, że zdaje się skrzepłe starca usta, powinnyby zadrzeć na jego wspomnienie.... i rozeszli się kochankowie. Antosia wbiegła do zamku, a Witołd pogonił na koniu do szambelana, któremu musiał dać słowo, że wróci, aby go mógł ojciec przybrany sam przedstawić Xięciu Józefowi Poniatowskiemu, którego się spodziewauo w zamku Słobódeckim.

W godzin parę po tem stała pani Wolińska w raz z mężem w bramie zamku; po za nią i koło niej zgromadzona szlachta okoliczna, którą już znamy po większej części, z naszym chorążym na czele, który od ostatniego zjazdu mocno zmieniony, o dziesięć lat zestarzały, ledwie trzymał się na nogach, i tylko łyskające czasem oczy odzywały się dawnem starca życiem. Pomiędzy obecnemi wielu ze szlachty zaściankowej było uzbrojonych w najrozmaitsze bronie, co nie dodawało im wcale wojennej postawy, chociaż nadawało im pewną malowniczą powierzchowność.

Za groblą i stawem stało uszykowane wojsko, były to same oddziały z wojska polskiego z narodowemi znakami, po części piechota, po części ułany. Z obu stron wjazdu na groblę bandy wojskowe odgrywały marsze, i inne muzyki na nutę narodową.

Groblą i mostem jechał liczny sztab jeneralski, chwytający przytomnych za oczy pięknością koni, mundurów i świecących akselbantów, i barwami. Na czele tego orszaku na kasztanowatym koniu pełnym ognia i dzielności, jechał wódz naczelny tego oddziału. Znajome wszystkim rysy wydatne, przyjemne i wyraziste, tylą portretami powtarzane w owym mianowicie czasie, że nie było prawie domu szlacheckiego, któryby nie posiadał wizerunku XciaJózefa Poniatowskiego, chętnie przez ceniących go ziomków nazywanego Bajardem polskim. Dzielnie siedział na koniu, dziarsko wyglądał z swoją twarzą marsową i pełną wdzięku zarazem, co go robiło ulubieńcem płci pięknej. Na czole otwartem znać było męzką odwagę, w oczach zapał i dobroć połączone razem; na ustach, pięknym wąsem ocienionych spoczęła powaga i pewność, nie z dumy rodowej lub innej pochodząca, ale z przeświadczenia o własnej sile ducha nieugiętego i nieustraszonego; pewność siebie samego, gotowość do każdego poświęcenia dla sprawy ogólnej. Lecz gdy te usta uśmiechały się, natenczas twarz cała ożywiała się urokiem tak sympatycznym, iż ten pociągał ku niemu nie tylko kobiece ale i męzkie serca.

Pełen życia, czerstwości i siły młodzieńczej prawie wyglądał w tej chwili, gdy na ognistym siedząc rumaku, z okiem i ręką wydaną naprzód jakby dla przywitania obecnych po tętniącym moście zbliżał się do bramy zamkowej, kwiatami i zielonością przeobrażonej w bramę tryumfalną. Któż by w ówczas mógł pomyśleć, kto przewidzieć, że ledwie rok przeminie, zagaśnie ten wzrok ognisty, zamrze ten wyraz siły i zapału, przedwczesnej śmierci palcem dotknięty. Zwycięzca w tylu potrzebach, pogromca tylu niebezpieczeństw, miał zginąć w nurtach lichej, ledwie znanej rzeczki. Patrząc w tej chwili na tę twarz dorodną, opromienioną najżywszemi uczuciami, które biły w sercu bohaterskim ku chwale i ku dobru ziemi ojczystej, któż mógł postrzedz unoszącą się już po nad głową jego tę fatalność która już odtąd niemiała odstąpić, ani wodza pod którego znakami wojował, ani wojska, któremu przewodniczył, ani kraju, o którego swobodach marzył tak świetnie, a za nim tylu innych marzyło. Ostatnie to prawie były chwile owych powodzeń, niczem niezrównanych, zapełniających świat cały ogromem swoim, powodzeń bajecznych prawie, które też za wieków parę zrobią z onej epoki, epokę prawdziwie mytologiczną.

Im więcej zbliżał się do bramy, tem więcej twarz pani Wolińskiej przybierała szczególnego wyrazu, który zdawał się dobywać z głębi najtajemniejszych uczuć. To bladła to czerwieniała, a wyraz ten odmłodnil ją tak mocno, iż przy tuż koło niej stojącej Antosi, wyglądała jakby jej mało co starsza siostra. Przypomniała sobie zapewne czasy minione, czasy młodsze, czasy ostatnich świetności naszych, których była świadkiem obok brata królewskiego, zbliżającego się teraz bohatera z myślą przywrócenia tego bytu dawnego, za którym wzdycha się zawsze choć by był najgorszy dla tego tylko, że się było młodszym, pełnym urojeń i nadziei.

Brygadier wcisnął w żonę oczy pełne srogiej nienawiści ale za to ścisnął wargi, jak by się bał, aby przez nię nie wyszły słowa wyraz spojrzeń tłumaczące. Okropnie podły był ten wyraz na jego twarzy, zjadliwej złości i tchórzowskiej niemocy.

Jeszcze parę zgrabnych konia skoków, i ognisty rumak stanął jak wryty, a Xiąże Józef zeskoczył z niego tak lekko, jak niegdyś w latach młodszych na dworach Wiedeńskim lub Warszawskim. I uśmiech i wyraz na twarzy były o lat wiele młodsze, pełne życia i ognia. Żywo przystąpił do gospodyni domu, i porywając białą jej rękę:

— Po latach tylu!.. zaczął namiętnie... miło mi; ciągnął dalej, przechodząc nie bez trudności w ton ceremonialny; witać panią i panów, z którymi tylekroć widywaliśmy się dawniej.

I pocałował uprzejmie rękę gospodyni, a wszystkim ukłonił serdecznie.

— Wiwat xiąże Józef! ryknęła szlachta uzbrojona.

— Niech żyje! zawtórowali bliżej stojący honoratiores.

— Wiwat! powtórzyli wszyscy z wzrastającym zapałem.

— Przyjęcie to wasze kochani ziomkowie... zaczął i urwał przez chwilę, czy wstrzymany wzruszeniem, czy że szukał wyrazu.. rozczula mnie!. dodał wreszcie ciszej nieco, schylony ku pani Wolińskiej, której twarz w tej chwili wypiękniała rumieńcem na twarzy, i łzą w oku... Rumieniec i łza zdawały się pochodzić z lat pierwszej wiosny, a przynajmniej z żywo poruszonych onej pamiątek.

— Jest to dla nas szczęście... szczęście... szczęście.. nad wszelki wyraz!. drżącym wyrzekła głosem...

— I zaszczyt prawdziwy!. dodał brygadier, lecz chraliwym głosem jakby go kto dusił..

Xiąże Józef spojrzał na niego zimnym i nawet szyderczym wzrokiem nieco. A do pani Wolińskiej dodał z uśmiechem:

— Szczęście! mówisz pani... panowie my idąc na długą wyprawę, to słowo bierzemy za wróżbę!.. Oby się ziściła dla nas i dla was!,.

— Dla mnie!.. szepnęła pani Krystyna szczerze rozczulona.

— Pod przewodnictwem waszej królewskiej mości! ozwał się chorąży Wenda zbliżając do niego; słowo to stanie się mościumdzieju prawdą!.. Wracaj tylko wasza książęca mość jak najprędzej, a szczęśliwie, to choćbym już stary mościumdzieju nie dożył tego, byle mnie doszedł odgłos zwycięstw woich mościumdzieju.. mości xiąże!.

Stary Wenda miał oczy łzami napełnione, i coraz więcej zaczynały połyskiwać oczy obecnych. Xiążę Józef porwał starego szlachcica za ręce i uścisnął go serdecznie.

— Panie chorąży! bo poznaję waszą szlachetną i poczciwą twarz, której wiek nie ujął życia, ale dodał powagi!.. ozwał się znowu xiążę. Twoje słowa ziszczą się, bo pochodzą bowiem z ust bogu miłych. Wrócimy!.. i nie prawdaż koledzy, zapraszamy się naprzód na kowieński miodek do pana Wendy..

— Z całego serca! zawołało całe grono młodych po większej części a świetnie przybranych oficerów sztabowych..

— Boże daj!... zawołał staruszek, i oczy rozczulone wzniósł ku niebu.

Rozczulenie jest zwykle zaraźliwe, a mianowicie u nas, którzy już z przyrody skłonni jesteśmy do wszelkich nieuczuciowych wzruszeń. Jakoż rzeczywiście cała ta scena była sama przez się rozczulająca. Bo się coraz więcej mieszały oba grona, szlachty witającej i przybyłych oficerów.

Wszakże to ziomkowie, dzieci jednej ziemi rodzinnej! A po między niemi, ileż się poznało, co kiedyś jeszcze przed laty, czy na ławie szkolnej, czy w ostatnich powsta-

nia chwiłach znali się! Co chwila odzywały się wykrzykniki podziwienia, krewnych którzy się zdybali po długoletniem niewidzeniu się, a następowały serdeczne uściski, i serdeczniejsze nadto słowa. Jakże się tu było nie rozweselić?.. a jeszcze gdy kobiety.. te nasze poczciwe kobiety z sercami tak do kraju przywiązanemi, gdy się zbliżyły do ziomków lubych z obcych krain przybyłych, i zaczęli witać tym swoim głosem dźwięcznym i pieszczotnym, który musi przenikać do serca, bo z serca pochodzi. Cała ta była scena rozrzewniająca serce, a wznosząca oraz ducha. To też uśmiech był na ustach wszystkich, łzy w oczach, a na czołach i twarzy wyraz wyższego zapału.

— Niech żyje nasz książe! krzyknęła raz jeszcze szlachta, którąby się w tej chwili porąbać za niego dała.

— Niech żyje! zawtórowały kobiece głosy...

— I wiara nasza niech żyje!... krzyknęła szlachta znowu.

— I bracia nasi niech żyją! odpowiedzieli oficerowie sztabowi, a za niemi hucznym do grzmotu podobnym chórem powtórzyły szeregi za groblą ustawione.

I jakby namówione muzyki półkowe zaczęły ulubionego marsza, którego nuta drzała w każdem sercu zgromadzonych gości. I zmieszani razem, oficerowie ze szlachtą ręka w rękę, otoczeni wieńcem kobiet, gdyby wieńcem kwiatów weszli wszyscy na dziedziniec idąc ku zamkowi, głośno, huczno, wesoło a zapalczywie..

Jedna tylko Antosia mniej od drugich wesoła była, pociągając w około na pół tęsknem okiem. Ona szukała Witolda, który jeszcze nie przybył z Szambelanem, i przykro jej było, że nie mógł być uczestnikiem sceny tak wzniosłej i rzewnej.

Xiąże Józef prowadził panią Wolińskę, a za niemi postępował brygadier z twarzą zupełnie tej chwili nieodpowiednią; bo gdy na wszystkie twarze wystąpiły wszystkie najszlachetniejsze uczucia jakie się chowają w sercu ludzkiem, na twarz jego wystąpiły wszystkie najobrzydliwsze namiętności ludzkie. Pomiędzy samemi twarzami świątecznemi, twarz jego była prawdziwie żałobną.

— To córka twoja!.. pani!.. zapytał książe z cicha.

— Córka przybrana!.. odpowiedziała pani Krystyna równie cicho.

— A!.. zawołał xiąże i urwał, wpatrzywszy się jeno w nią pytającym wzrokiem.

Ona spojrzała w niebo z wyrazem wzruszenia tak trudnego do oddania, jak trudno jej przychodziło tłumne swoje rozwikłać uczucia.

— Nie żyje!.. mruknął pan Woliński głosem złowrogim i pełnym złośliwości.

Snać nie zrozumiał xiąże Józef tych słów jego, bo spojrzał na niego z dziwnym wyrazem.

Weszli nareszcie do świetnie przystrojonych salonów zamkowych.

Towarzystwo podzieliło się na grona, rozmawiając coraz żywiej, coraz poufalej. A byłaż to rozmową nad rozmowy, pełna zajęcia serdecznego. Przybyli tyle mieli do rozpowiedzenia, o tych wyprawach bez końca po puszczach Afryki, po ogrodach Grenady, pomiędzy dzikie czarnych niewolników tłumy pod skwarnem, tropikowem słońcem, o zdarzeniach publicznych i prywatnych, a cóż dopiero, gdy wzruszonem głosem zaczęli opowiadać o tej tęsknocie za krajem, która im wszędzie towarzyszyła, pamiątką w sercu, woreczkiem z ziemią ojczystą na piersiach.

Natomiast odpowiedziano im dziejami własnych uczuć serca i duszy, powiązanych nadzieją, marzeniem, z działaniami wojujących braci.

Jakby dwaj bracia, dwaj przyjaciele, dwaj kochankowie serdeczni zdybali się po długiem niewidzeniu i mówili sobie:

— Jam tęsknił do ciebie codzień..

— Jam się ciebie co dzień spodziewał.

Xiąże Józef musiał rozmawiać poważnie ze starszemi mianowicie z Wendą, który z namiętną żądzą i przyspieszonemi słowy wypytywał się o wszystkie szczegóły. Biedny staruszek chciał skorzystać z tej chwili, czując, że to może już jest ostatnia tak piękna w długiem życiu jego. Xiąże był uprzejmy, grzeczny, ale kto by go znał bliżej, poznał by po słowach i ruchach jego roztargnienie jakieś.

Mimowolnie a często spoglądał ku gronu niewiast z którego zdybywały go; często spojrzenia pięknych oczów pani Wolińskiej.

W tem otworzyły się drzwi i wszedł przez nie szambelan z Witołdem.

Szambelan spóźnił się i nie mogło być inaczej, bo przypomniawszy sobie dawne dworskie dzieje, stroił się tym razem jak się nie stroi żadna kobieta, choć by chciała ukryć parę lat dziesiątek Szambelan chciał koniecznie wyglądać młodo tego dnia, i udało mu się to najdoskonalej, bo twarz jego była z samych róż i liljów złożona, sztucznie naśladujących naturę; a o szatach nawet nie potrzebujemy wspomnieć czytelnikom naszym, którzy znają już gust poczciwego szambelana.

Wszystkie kolory tęczy były na jego osobie, ubranej w niezliczone mnóstwo świecących i barwnych fraszek; na ustach był uśmiech promienisty, a w oczach wyraz najpocieszniejszego zachwycenia. W całej powierzchowności i układzie szambelana walczył dworak z poczciwym szlachcicem, szambelan z Siarkowskim, który mimowolnie przebijał to serdeczną radością, którą mógł ledwie w szrankach utrzymać za pomocą ceremonialnej, wielce uroczystej powagi.

— Jaśnie oświecony xiąże raczy pozwolić, abym śmiał przypomnieć się łaskawej pamięci, jako dawny sługa Jego królewskiej mości! zaczął zgięty wpółzaokrąglonym wdziękiem wersalskich salonowców, po rzęsitych ukłonach jakie

odbywał z gracią a lekkością, jakie sobie przypomniał jeszcze z nauk choreograficznych w Paryżu branych.

— Wasza książęca mość raczyła mnie poznać.... co mnie rozczula i... i... i... Tu wyjął patetycznie chustkę batystową woniejącą jak cały sklep pachnideł.

— A któż by cię nie poznał mój szambelanie! odkryłeś tajemnicę zachowania młodości, jakbyś się napił ze zdroju...

— De la fontaine de jouvence!.. tym razem mości xiąże, jest to zdroj radości na widok waszej xiążęcej mości...

— Niezmieniony twarzą i sercem jesteś szambelanie... a to jest zapewne twój syn przybrany, o którym wspominał mi już stary Wenda, i który życzy sobie pod mojem okiem pierwsze zdobyć wawrzyny.

I spojrzawszy na naszego bohatyra, zaczął mu się przypatrywać z wrastającą uwagą. Witold zmieszał się z poczerwieniał nie tyle z powodu słów księcia, jak raczej z powodu uczucia jakiegoś, które nagle ścisnęło go za serce w obecności wysokiego xięcia.

— Którego mam zaszczyt przedstawić waszej xiążęcej mości, przerwał szambelan, i którego śmiem przedstawić względom waszej xiążęcej mości; tem więcej.. tem więcej.. że......

Szambelan przerwał rozpoczętą przedmowę; i zaczął kolejno patrzeć to na xięcia, to na Witołda z wyrazem nadzwyczaj pociesznym. (C. d. n.)

LIRNIK

[Ustęp z większego poematu]

(Dokończenie)

Dziwne święto w takiej dobie.
— Patrzcie dzieci! dziad spokojnie
Wskazał ręką, jak na wojnie:

— Tam pod gajem wstał ataman,
Ciężkim jakimś smutkiem złaman,
Przy nim światłość archanioła..,
Już mię martwem okiem woła,
Bym mu zagrał pieśń pochodu
Jak to w on czas, jak za młodu!
Idę panie, mój hetmanie!
Nie nam już w tej ziemi świętej
Spis łańcuchem w pół przeciętej
Tobie leżeć a mnie chodzić,
Tobie kląć a mnie zawodzić.
I czy stanie dla nas obu
Mnie przy tobie na niej grobu?..
Czy mnie puszczą starowinę
Z pod Halicza w Ukrainę.—
Bym na polach swej młodości
Opruchniałe złożył kości?..
Mojej się lękają pieśni,
By nie powstał z mogił pleśni
Król, ataman i rówieśni!..
Marny lęk to; co bywało,
Już li w dumie żyje cało,
A dziś pieśń — to duch bez ciała,
Marna jak bez łuku strzała,
Jak bez czynu próżne słowo.“

Umilkł chwilkę i na nowo
Począł prawić:

— Bóg wie jeden,
Ilem przeżył tutaj lat,
Kędym schodził ruski świat,
Gdziem się błąkał i wojował, —
Lecz com cierpiał do tej chwili
Jeno sam wiem Scmen bieden
Bo Bóg czejby się zlitował!
I wy znacie coś Wasyli...
Oni wszyscy towarzysze
Poszli tam do miru domów;
Dziś ja jeden czuję, słyszę
Te ich skargi i przeklęcia,
Coby na kształt sinych gromów,
Mrok rozbiły ten i ciszę.

Lecz jam stary, i me usta
Nieme jak u niemowlęcia;
Mimo milionów ludzi
Świat, widownia dla mnie pusta,
Echa śpiew mój nie obudzi.
Zmarł świat stary, nastał nowy,
Po co jemu starej głowy?
Po co jemu starej pieśni
Wydobytej z grobów pleśni?
W spiew skowronka i słowika
Na co rzucać jęk puszczyka?..
Ot zawadzam jeno w tłumie,
Ja narzekać tylko umię,
Śród bezmyślnej śmieszków rzeszy
Dziad powagą swoją śmieszy.

Idę, idę, młody świecie,
Proch nie strzepię; — błogosławię,
Boś ty mego rodu dziecię,
Choć z imienia tylko prawie,
Bywaj zdrowa córo młoda!
Pójdzie stara cześć i broda.

Jeszcześ ty mi wielki panie
Pozozstawił sił na tyle,

Aby pójść i ledz w mogile
Idę, idę atamanie.

„Czas do domu, czas,
Ne treba tu nás.”

Ej Wasyli! co prawicie?
Bóg dozwoli dłuższe życie!
Po co? Choćby nawet Boże!
Wskrzesło dawne Zaporoże.
Patrzcie, jak mi drzy już głowa,
Krok się wlecze, ręka mdleje,
Ócz nie nęcą już nadzieje
I nie tętnią w piersi słowa
Jak krynica beskidowa.

Ta nie dziwo! Hej Wasyli!
Jeszcze wtedy wy nieżyli,
Kiedym z ciasnych objęć domu,
Na głos Siczy pokryjomu
Jak roskoszne stepu łosze
Mknął w niżowe sławne kosze.
A została po mnie chata,
Matka stara, niebogata,
A od matki i zaścianka
Droższa i we łzach kochanka.
Bóg mię skarał, czej bym może
Nie był przeżył Zaporoże!
Lecz głos poszedł: Hetman woła,
Wróg i zdrada do okoła,
W imie Boha! Nuż! choć trudno.

Łatwo w słowie dziś się powie,
Jak to z domem się żegnało.
Hej dumałem ja noc całą,
Coś szumiało, wrzało w głowie,
A na sercu ciężko, nudno,
Omal czaszka, pierś nie pękła,
Lecz koń zarżał, szabla szczękła,
Step rozwidniał. Jeszcze w tył,
Raz spojrzałem, zrobił krzyż,
Wiatr łzę otarł, i co sił
Kopnął wrony. Kędy? w Niż!
Gwiazd spytałem się o szlak,
Umknął z gniazda młody ptak.

Edmund.

OBRAZKI WIEJSKIE.

III.

Przejażdżka do cioci.

(Ciąg dalszy.)

Tak rozmawiając wróciliśmy do domu, gdzie już drzwi były otwarte i kawa na nas czekała. Ale jakaż kawa? Wtedy była w modzie żytnia, a pani jenerałowa nielubiąca wydatków tej modzie bardzo sprzyjała. O jedenastej poszliśmy do kościoła. Któż zdoła opisać tę powagę z jaką proboszcz celebrował przez dwie godziny, z jaką wikary ocierając chustką pot z czoła kazał pół godziny, z jaką kolatorowie patynę całowali. Są to wszystko obrzędy na wsi znajome, a nie jedna kolatorka spazmów by dostała gdyby bez pocałowania patyny do domu wróciła, nie dla pobożności ale dla tego tryumfu, do którego dzierzawczynie i ekonomowe przy kruchcie siedzące wzdychają.

Po mszy sąsiedztwo zjechało do dworu. Byli to państwo Pafnucowie, pan Wincenty, pani szambelanowa, pan August.

Pan Pafnucy był to jeden z tych ludzi, co to służyli kiedyś za ekonomów, a gdy dobrą kiesę z krzywdą swych panów zebrali, postanowili nakoniec być uczciwemi i poszli na dzierzawców. Otóż i p. Pafnucy poczuwszy quondam ten popęd cnotliwy, porzucił swego chlebodawcę i wziął wioskę w dzierzawę.

Tu zdzierał chłopów, oszukiwał na wszystkie boki, sprzedawał nieczyste zboże, zaprowadzał fałszywą miarę, nie płacił za dzień zarobny poddanym więcej jak 9 kr. ww. Lecz któż potrafi wyrazić te rozliczne drogi ku prędkiemu zrobieniu majątku dążące?

To tylko pewna że pan Pafnucy żadnej z nich nie zaniechał i dzięki tej zapobiegliwości był w stanie wkrótce zostać dziedzicem wioski, którą niedawno dzierzawił. Tak tedy zostawszy dziedzicem, nabrał prawa do obywatelstwa. Póki bowiem był dzierzawcą, nie jeden pomniał na jego pochodzenie, na sposób jakim się z niego wydostał. Ale kupiwszy wieś, oczyścił się z tego zakału. Jednej tylko rzeczy mu niedostawało. Oto budynki w jego wsi kupionej były oczywiście przez czas jego dzierzawy zniszczone, a p. Pafnucy zapragnął jakoś żyć po pańsku. Przy rozwalonych budynkach trudno pana udawać. A więc do sposobu! Zaasekurował się, a kiedy go nieszczęście pożaru nawidziło, w krótce stanęły nowe i okazałe budynki. Teraz to dopiero dom swój na prawdę otworzył, sąsiedztwo hurmem do niego się garnęło, on dawał obiady i wieczorki, a za to dla niego sąsiady wyprawiali kosztowne biesiady.

Któż nie wie że za majątkiem idzie i znaczenie! Byle bodaj jakim sposobem zebrać majątek, znajdzie się szacunek u ludzi. Któż nie wie że ludzie tegocześni są bardzo pobłażającemi. Pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze, oto dewiza, oto hasło 19. wieku!

Pan Pafnucy tem ośmielony nabierał coraz więcej dumy i on co niedawno sam obcej pomocy potrzebował, teraz zaczął naigrawać się z owych co może przez lekkomyślność, może też przez to że byli tyle nierozsądnymi i z drogi prawej niezboczyli a od ofiar, których po nich wymagano nieumieli sie uchylić, upadli na majątku, i to naigrawanie mu uchodziło. Bo któż śmiał mu co zarzucić, kiedy on po-

mnażał ciągle majątek, trzymał paradne ekwipaże, a gdyby był jeszcze parę lat pożył, kto wie do jakich byłby doszedł godności. Zniesienie jednak pańszczyzny tak mocny wpływ na jego zdrowie wywarło, że niemogąc przeprowadzić ulubionej myśli, powrotu pańszczyzny, w krótce po tych odwiedzinach u jenerałowej na żółciową gorączkę Bogu ducha oddał.

Każden się domyśli że p. Pafnucowa musiała mieć wiele podobieństwa do swego najdroższego małżonka, pełna dumy obywatelskiej, w czepku z jaskrawemi wstążkami, bo Papiusowa znała jej gust i takie tylko jej czepki przysełała, siedziała na kanapie. Bo według jej mniemania przywilej ten każdej dziedziczce wyłącznie należał, i nawet w prostocie duszy chciała ten warunek w kontrakcie kupna umieścić i zaintabulować. Ale gdy jej wytłómaczono że podobne prawo nie należy do fundus instructus, musiała poprzestać na tem, że kanapę wszędzie brała w używanie, bo zasłyszała od męża że według prawa używanie jest najlepszym środkiem utrzymania się chociażby w drodze prowizoryczuej.

Adolf jako dawny znajomy przedstawił mię p. Pafnucowej. Wypadło zatem zawiązać jakąś rozmowę co wcale nie trudnem było, bo język jej latał jak na kołowrocie. Między innemi wiadomościami dowiedziałem się z kopyta że p. szambelanowej nie lubi, bo ona jej ciągle puszcza pod nos afronta, a ona wraz z mężem tak są miłosierni dla chłopów, że im dają zboże na odrobek, ale te niewdzięczniki sami tego zboża nie jedzą, dają go trzodzie, bo powiadają że w nim jest pół chwastu i goryczki, że jej się już nudzi na wsi i do Lwowa na zimę się wybiera; nakoniec że ma dwie córki, z których jednę wydała za pana Ludwika, łepskiego bardzo chłopaka, a druga która z państwem Ludwikowstwem tu niezabawem przyjedzie, jest bardzo ładna, i że ją kiedyś w Samborze porównano z jakąś boginią. Po długich przypominaniach sobie, pokazało się że tą boginią była Marja Teresa.

Na szczęście przybycie państwa Ludwików i owej bogini przerwało nudzącą już mnie rozmowę z szanowną obywatelką.

Owa bogini ani do cesarzowej Maryi Teresy, ani do żadnej mitologicznej figury nie była podobną, ale za to jak kropla wody do swej siostry p. Ludwikowej. Były to bowiem bliźniaczki i prawdziwie podziwiać trzeba twórczość natury, że zdołała na jeden raz wydać takie dwa exemplarze. Były to bowiem dwa aniołki, ale z tych aniołów, co to ongi pod dowództwem Lucypera bunt w niebie podnieśli. Co się tyczy pana Ludwika była to lalunia aż miło. Rumiany jak rak i w drugim przymiocie sprawdzał stare przysłowie. Grzeczny, uśmiechający, ciągle miał słowo honoru w ustach. Spytaj go, czy jadł obiad odpowie ci: Słowo honoru, nie. Pytaj go czy deszcz pada, odpowie toż samo. Słowem tak sobie to słowo honoru upodobał że cały honor w nim umieścił. Tak więc honor przyzwyczajony do siedliska w sercu, przeniesiony do ust, zląkł się i znikł jak kamfora z całej osoby pana Ludwika.

Pani szambelanowa w swoim rodzaju była także jedyna. Z okularami na nosie, które jej głos podobnym do głosu fagota czyniły, z dużą torbą czworograniastą na ręku, i chustką, na której poznać mogłeś ile rodzajów tabaki ten okulbaczony nos pożerał, chodziła dużemi krokami po pokoju i to tu to owdzie stawając, zadawała najnudniejsze pytania tym szczęśliwym co jej na siebie zwrócili uwagę. Trzeba bowiem wiedzieć że wystawiała sobie że nie do lada osób należy.

Emilia jako gospodyni musiała bawić przybyłych. Panna Pafnucanka usiadła do fortepianu i nie grała, ale odszturkiwała jakąś polkę. Adolf niemogąc rozmawiać z Emilią przybliżył się do mnie. Spytałem go:

— Kto jest ten p. Wincenty, który głośno rozmawia?

— Jest to polujący na popularność, odrzekł Adolf. Uroiło mu się że może być wielkim człowiekiem, byleby za pomocą par force ułowionej popularności wkręcić się w życie publiczne. Dlatego też przy pierwszem poznaniu będzie cię traktował jak najlepszego przyjaciela, będzie cię ściskał, całował do znudzenia, będzie cię zwał: *mój bracie*, *moje serce* i t. d.

Podobna miłość napada go do każdego, bo on chce tworzyć sobie stronnictwo i poluje na popularność! Stara on się zawsze aby o nim mówiono, daje obiady, polowania, każde imieniny swoje i swojej rodziny obchodzi uroczyście, wywiadując się o każden wypadek śmierci, ognia lub choroby w sąsiedztwie i wszędzie się ciśnie jakby anioł pocieszyciel. Jeśli gdzie między sąsiadami spór jaki wypadł, p. Wincenty póty im nie da pokoju, póki go na arbitra nie wezmą. Wtedy to jeśli strony obydwie są w znaczeniu, rozsądzi niezawodnie *na połowę* i tyle swoją wymową, której mu nie braknie, dokaże, że obie strony będą zadowolnione. Jeżeli zaś jedna strona niżej od drugiej w społeczeństwie położona, niezawodnie tak kompromis zakieruje, że ona skrzywdzoną zostanie. Słowem pan Wincenty nieproszony, nie dziękowany, tam jak to mówią rośnie, gdzie go nieposiano. Cóż to było dla niego w roku 1848. za pole popisów! Pełen nowych projektów na wszystkich klubach i schadzkach odgrywał on ważną rolę, krzyczał, hałasił, groził, płakał nawet czasami, aż nareszcie tyle uzyskał, że kiedy obierano deputacyą, obrano i jego. Oczywiście już odtąd niedał się nikomu wyprzedzić. Zawiązano jakąś Radę, on par force się do niej wcisnął. Wyznaczono jaką komisyę, on do niej musiał być wybranym. Ależ czy myślisz że już się tem zadowolnil? Uchowaj Boże, to dla p. Wincentego jako wielkiego człowieka w perspektywie byłoby za mało.

Organizowano gwardią, on zaintrygował i został oficerem. Urządzono sąd honorowy, on był jego członkiem. W radzie gospodarczej on tykże być musiał; w komitecie trudniącym się składkami został sekretarzem. Kobiety potrze-

bowały do towarzystwa dobroczynnności sekretarza on się im nasunął. Zakładano towarzystwo literackie on się do niego zapisał. Grano teatr amatorski, on był między aktorami, tańczono krakowiaka na scenie, on wybijał hołupca, zbierano fanty na bal fantowy, on je także zbierał, wydawano pismo czasowe on był współredaktorem. Słowem p. Wincenty jak drugi Figaro wszędzie być musiał, piastował 13 nowych urzędów, ale cóż niestety kiedy żadnemu odpowiedzieć nie był w stanie, a tak publiczność się na nim poznała i p. Wicenty zamiast wielkiego człowieka zyskał sobie nazwę wielkiego pajaca! (D. n.)

Obrona pana Boguckiego.

Że u nas w Galicyi pojawili się krytycy sztuk pięknych, to bynajmniej nas nie dziwi, gdyż za granicą krytykują, a my zwykliśmy, chociaż by dla mody, robić co drudzy; lecz co ma prawo nas dziwić i smucić zarazem to to, że nasi PP. krytycy tak skrzętnie kuszący się o naśladownictwo zagranicznych, nie starają się zgłębić świętego charakteru i wzniosłych przeznaczeń krytyki, że nie usiłują nabyć większej znajomości przedmiotów, o których traktują, dobić się do tej wyższości, jaka tamtych znamionuje! —

Krytyk jako poprawiający drugich, jako prostujący ścieszki wiodące do krainy piękna, jest sternikiem, kapłanem sztuki i jako taki musi przechodzić innych wiedzą i natchnieniem, musi być powołanym; bez tego warunku krytyka odarta ze światła i świętego ognia, jakie odznaczają dzieła namaszczonych ludzi, stanie się bladym owocem miłości własnej i próżności, będzie tchnęła świętokradztwem i szarlatanerią; słowem, stanie się tem, czem są zwykle artykuły naszych znawców zuchwale po periodyczych pismach mieszczone.

Wszechstronna szkodliwość podobnych ramot z łatwością wykazaćby się dała, gdyby nam czas tego dozwalał; lecz sięgać tak daleko nie jest naszym interesem, ani naszym zamiarem; artykuł dotykający syna mojego, nieznajomą ręką skreślony i umieszczony w Nowinach pod liczbą 51 był jedynym powodem iż wziąłem za pióro, nań przeto odpowiedzieć, nań jedynie zwrócić uwagę publiczności pragnę.

Nieznajomy krytyk syna mojego dla zrobienia zapewne głębokiego wrażenia na swych czytelnikach, dla dania im zapewne wielkiego wyobrażenia o swej głębokiej muzykalnej wiedzy, na wstępie swego pisma usiłuje posługiwać się wyrazami które wtajemniczonym tylko w sztukę są znajome. Z góry występuje ze stakatami i pizzicatami, grzmi w uszach nazwiskami Kalkbrennera i Thalberga i wspomina o charakterza ich wtorów, jakby dla tego tylko by nas nauczyć o *rzniętych i dętych tonach!* (?) Ktokolwiek ma jakie takie wyobrażenie o muzyce, ktokolwiek posiada choćby najmniejszą wprawę w używaniu języka, jaki tej sztuce jest właściwy, już z tych szumnych wyrazów i niezgrabnego ich użycia łatwo domyślec się może, że je kreśliła ręka niewprawna, niepewna, nieumiejętna.

Lecz pomijamy ten pierwszy wyskok szanownego krytyka, lękamy się albowiem by nas nie obwiniono o niewdzięczność, gdyż to jedyna chwila, w której autor zadowolony widać z siebie, okazał się dla nas łaskawym, chojnym, wspaniałomyślnym! W pierwszym zapędzie pochwał, przyznał synowi mojemu że *z najwyższą łatwością przezwycięża najzawilsze trudności, że jest panem samowładnym całej mechaniki fortepianowej, że z orkiestrą utrzymuje takt dokładnie i z taką pewnością, jakby stary, wyćwiczony muzyk, który z orkiestrą długie grał lata.*

Lecz jeżeli szanowny krytyk wiedział co pisał, jeżeli ważył wartość pochlebnych wyrazów, jakiemi z razu obsypać nas raczył, niechaj nam wolno będzie zapytać, jakim to dzieje się sposobem, że parę wierszy niżej, z owego samowładnego pana całej mechaniki fortepianowej, z owego mistrza taktu uczynił nieuka, co mąci melodię? Czyliż melodia dla szanownego krytyka jest czem innem jak czystem i taktownem odegraniem po sobie następujących a sens muzyczny stanowiących tonow?!! A jeźli krytyk tak jak my, jak świat cały pojmuje melodią, podług jakiej logiki uznał że można być samowładnym panem *mechaniki* fortepianowej, zachowywać takt jak wyuczony muzyk, a przecież mącić melodią, to jest: mięszać tony i gwałcić miarę muzyczną? Niechaj szanowny krytyk przebaczy ale musiemy mu oświadczyć, że wśród takich trudności wywikłanie się jest niepodobnem, przyznanie się do grzechu koniecznem;*) pozostaje jeszcze jedna trudność, trudność oznaczenia czem krytyk najwięcej grzeszy: Czy nieznajomością przedmiotu, o którem lekkomyślnie sądzi, czy nierozumieniem wyrazów, jakiemi się posługuje, czy ubóstwem logiki? nam się wydaie że i jednem i drugiem i trzecim. A przecież niestety, z pośrodka tej nieudolności, jakby na dowód, że zuchwalstwo jest w stosunku prostym do ciemnoty: krytyk przybiera postawę komicznie doktoralną, i raczy nas obdarzać radą, nauką!... Dalecy jesteśmy od zarozumiałości, każdą radę z wdzięcznością przyjmiemy, żądamy tylko by ta rada była prawym owocem światła i rozsądku, ale z najgłębszym smutkiem wyznać musiemy że i tu równie jak wyżej autor nic ukazał ani jednego ani drugiego. Takto szanowny doradca wyraźnie mówi: że polotu fanazyj i wyższego życia w grze, niepodobna jeszcze żądać od jedenastoletniego chłopczyny: a przecież życzy Ojcu by zostawił synowi więcej samodzielności, by wypuścił go ze szkoły (swej)?. Czy doradca rozumie co to jest fantazja? Wątpiemy, i dla tego pozwalamy sobie powiedzieć mu, że fantazja jest to polot duszy, który stanowi jej oryginalność, oznaczenie jej, rozbudzenie jej usamowolenia, ale to rozbudzenie to usamowolenie, nie zawisły od człowieka, ono odbywa się w czasie nieoznaczonym, i zależy jedynie od Boga, który budząc duszę powołuje człowieka do nowych przeznaczeń.

Lecz jeźli podług szanownego doradcy, ta święta epoka nienadeszła jeszcze dla syna mojego, dla czego niezgrabnie doradza nadanie samodzielności, której czas jeszcze nie nadszedł, a której sam Bóg jeszcze nie udzielił? Dla czego nieumnie radzi mi wypuścić ze szkoły dziecie, które nie mając samodzielności prowadzićby się nie umiało? Dla czego? Na dokończenie my powiemy szanownemu doradcy dla czego?. Oto dla tego że doradca nie wie nawet co to jest szkoła!.

---

*) Pojmujemy drażliwość ojcowską, ale przecie nie godziło się posuwać ją aż do tego stopnia, aby w celu pomówienia o nieuctwo krytyka który poważył się słowo wyrzec nie bezwzględnie chwalące syna jego, fałszować myśl recenzenta i na tem budować obronę. Krytyk Nowin powiedział «iż młody fortepianista dziś jeszcze w wykonaniu jest zupełnie biernym; odgrywa jedynie wypisane nuty, nie zgłębiając dostatecznie ich wyrazu, nie uwydatniając dokładniej melodyi, zważając mało, gdzie tempo przyspieszyć, gdzie zwolnić. Tak np. w drugiej części fantazyi Thalberga z Somnambuli zwolnieniem tempa nie podniósł wyrazu tego utworu, jak przeciwnie za szybką grą w walcu Kąckiego mącił melodją. Ojcu radził, by więcej samodzielności zostawił synowi, by wypuścił go z szkoły, która w grze jego zimnem uderza». Otóż pan Bogucki pochwycił tylko z całego ustępu dwa wyrazy: mącił melodją, a opuścił zupełnie że powód tego zarzutu, iż melodją mącił, jest to nie stosowne zwolnienie tempa, to przyspieszaniem. Czynił zaś to dla tego, iż nie pojął dokładnie wyrazu odgrywanych utworów. Zresztą iż przy najlepszym mechanizmie gry, przy najwierniejszem zachowaniu taktu można zmącić melodją nieodpowiedniem duchowi utworu tempem, toć przecie nie zaprzeczy żaden muzyk. R...

Szanowny doradca albowiem gdyby wiedział że szkoła jest przysposobieniem, przygotowaniem materiału z którego dusza po swem przebudzeniu ma tworzyć świat swego ideału, gdyby wiedział że im większe są zasoby i bogactwa zebrane w szkole, tem wyższa, piękniejsza jest działalność duszy. może nie napierałby na nas by wypuścić syna ze szkoły, możeby sam do niej powrócił!... **)

Walerjan Bogucki.

**) Oto przytaczamy słowa krytyka: *«Ojcu radzilibyśmy, aby więcej samodzielności zostawił synowi, by wypuścił go z szkoły, która w grze jego zimnem uderza, a dozwolił rozwijać się fantazyi, duszy młodzieńczej a wtedy dopiero zdoła otrząść się z więzów szkoły i nadać grze swej życie. Zapewne iż polotu fantazyi, tego życia w grze niepodobna jeszcze żądać od jedenastoletniego chłopczyny; my też nie czynimy mu z tąd zarzutu, ale wyjawiamy jedynie życzenie o jego przyszłość.»*

Wszak tu widocznie inna jest myśl niż ta, którą zbija p. Bogucki. Ale drażnięta miłość własna nie dozwoliła panu Boguckiemu, wyrozumieć iż to z jego, estetycznego pojęcia muzyki nie dającej szkoły wypuścić mu radzą syna na przyszłość i dozwolić na dal rozwijać się jego uczuciu muzycznemu samodzielniej a dla dalszego kształcenia się wysłać go za granicę. R...

Rozmaitość.

* Muzyka kościelna. We czwartek w dzień uroczysty Wniebowstąpienia w kościele archikatedralnym łacińskim wielka msza utworu p. Zimermanna. 2go dyrektora przy orkiestrze teatralnej została wykonaną z wielką precyzją. Ta msza wyszczególnia się tem że nosi cechę prawdziwego kościelnego stylu: «Graduale» na głosy męskie naszego tyle zasłużonego J. C. Kesslera, «Offertorium» utworu p. Heinricha, członka tutejszej orkiestry teatralnej. Solo na głos tenorowy z towarzyszeniem fagotu koncertowem. Pan Dunder odspiewał solo miłym, silnym i wzruszającym głosem, towarzyszenie fagotu sam kompozytor po mistrzowsku wykonał. Jego Excelencja ksiądz Arcybiskup prezydował, ks. prałat i opat Ostrawski celebrował.

* Jutro przy sprzyjającej pogodzie odbędzie się na placu Jabłonowskich wielka parada o 10 godzinie przedpołudniem, poświęcenia chorągwi dla batalionu grenadierów pułku, którego właścicielem Jenerał hr. Coronini. Najjaśniejsza Cesarzowa Jej Mość przysłała bogato litą wstęgę, a JW. hr. Gołuchowska, małżonka jego Excell naszego Namiestnika, będzie przy poświęceniu chorągwi w zastępstwie Najjaśniejszej Pani. Poczem nastąpi obiad wielki u JExc. Namiestnikowstwa na 60 osób.

Przyjechali od dnia 17. do 18. Maja. do Lwowa.

PP. Napadiewicz Robert z Więckowiec. Cetner Albert hr. z Podkamienia. Papara Henryk z Zubowych mostów. Groblewski Dionizy z Martynowa starego. Nahojowski Antoni z Czernicy. Jaźwiński Alexander z Bortnik. Wiśniewski Franciszek z Koziny. Remer Erazm z Husiatyna. Stankiewicz Stefan z Podlisek. Wojczyński Alfred z Tuligłow.

PP. Gumowski Hieronim z Borki. Czajkowski Izydor z Jarosławiec. Jaruntowski Antoni z Jabłonowa. Serwatowski Wojciech z Rajtarowic. Kozicki Henryk z Tarnawki. Dobek Konstanty z Sarnik.

Wyjechali od dnia 17. do 18. Maja ze Lwowa:

PP. Janko Henryk do Złoczowa. Żurowski Antoni do Nechrybki. Drohojowski Józef hr. do Balic. Krasiński Piotr hr. do Rohatyna. Ciepielowski Albin do Luszyna. Borkowski Alfred hr. do Czortkowa.

PP. Mrozkowski Ignacy do Ditkowiec. Borkowski Seweryn hr. do Tarnopola. Schönfeld Józef do Przemyśla. Zachariasiewicz Mikołaj do Lipowiec.

Kurs telegrafowany z Wiednia 18. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr. .	128	Pożyczka 5% $79^{13}/_{16}$ 4½	69½
Hamburg za 100 tal. banco	93½	Akcye banku	988
Londyn za 1 funt szterl.,	12 27	Kolej północna	1865
Medyolan za 300 lirów	127¼	Obl. ind.	72
Paryż za 300 franków .	148⅞	Nowa pożyczka z loteryą	$101^{1}/_{16}$
Agio duk. ces. . . .	32¼	Pożyczka narodowa . .	$84^{5}/_{16}$

Wczorajszy Kurs Lwowski

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	49	złr.	5	kr.	50
Dukat cesarski	«	5	»	53	»	5	«	52
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	5	»	5	«	61
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	58	«	1	»	58
Talar pruski	»	1	«	53	»	1	«	55
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	»	1	«	24	»	1	«	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	93	«	10	»	93	«	35
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		72	»	35	»	72	»	55
5 proc. pożyczka narodowa		83	»	30	»	85	«	40

Lwów, 18. Maja. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 39 złr. 30 kr. do 41 złr. — kr. — Żyta po 25 złr. — kr. do 29 złr. 45 kr. Jeczmienia po 22 złr. — kr do 28 złr. 45 kr. Owsa po 19 złr. 30 kr. do 20 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 21 złr. — kr. do 22 złr. — kr. — Ziemniaków po 17 złr. 30 do 18 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego — złr — kr. do 55 złr. — kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 44 złr. w.w. Cetnar siana 5 złr. — kr. do 5 złr. 53 kr. Centnar słomy 3 złr. 45 kr. do 4 złr. — kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 25 kr. w. w.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**